

# Azjatyckie skarby kultury i przyrody - Filipiny



**Krzysztof Danielewicz**



Security  
in practice



## Azjatyckie skarby kultury i przyrody: Tajlandia, Laos, Wietnam i Filipiny

Opracował: Krzysztof Danielewicz, 2024 r.

### Część IV - Filipiny

Po kilku tygodniach podróżowania po Tajlandii, Laosie i Wietnamie przyszedł czas na nowe wyzwanie – Filipiny. O ile w wymienionych krajach już byłem wcześniej, to Filipiny stanowiły dla mnie zupełnie nowe odkrycie. Wylot nastąpił z Ho Shi Minh, a w Manili znalazłem się około 5.30, doszła jedna godzina przesunięcia pomiędzy Filipinami i Polską. Na lotnisku okazało się, że dwa razy muszę stać do kontroli paszportowej, ponieważ – pomimo że nie obowiązuje mnie konieczność posiadania wizy – to jednak trzeba przejść rejestrację online. Nie jest to skomplikowane, a dodatkowo obsługa lotniska pomaga. W specjalnym punkcie, gdzie mamy dostęp do wi-fi, podajemy konkretne dane na temat swojego pobytu czy dane osobowe. Następnie system generuje kod QR, z którym idziemy do kontroli paszportowej, tam bez problemu dostajemy pieczętkę i idziemy po bagaż. Wcześniej jeszcze w Sajgonie na lotnisku musiałem okazać się biletem na wylot do Filipin.

Zdjęcie 1. Flaga Filipin.



Po wyjściu z lotniska, nawet pomimo swojego doświadczenia w podróżowaniu, dałem się naciągnąć na drogą taksówkę, ale czasami człowieka ktoś weźmie z zaskoczenia. Jak to mówią: człowiek się ciągle uczy, a i tak nie za mądry umiera. Ważne jest to, że dojechałem bez problemu do hotelu, po drodze oglądając Manilę. Pierwsze wrażenie odniosłem bardzo średnie, choć nie miałem żadnych oczekiwań – wiedziałem, że większość z ponad 25 mln zamieszkujących miasto ludzi żyje w słabych warunkach. Hotel znajdował się w dobrej lokalizacji, na której mi zależało, gdyż chciałem mieszkać blisko historycznej dzielnicy Intramuros.

Trochę się zdziwiłem, gdy drzwi do taksówki otworzył mi umundurowany ochroniarz ze strzelbą gładkolufową, a inny umundurowany ochroniarz, także uzbrojony, sprawdzał, czy jestem na liście gości. Po wstępnej weryfikacji wszedłem do hotelu i zostałem bardzo profesjonalnie obsłużony. Niestety, była dopiero godzina 8.00, a klucze do pokoju mogłem otrzymać dopiero około 13.00. Poszedłem więc zwiedzać najbliższą okolicę.

Zdjęcia 2–9. Manila, park Rizala i Oceanarium.







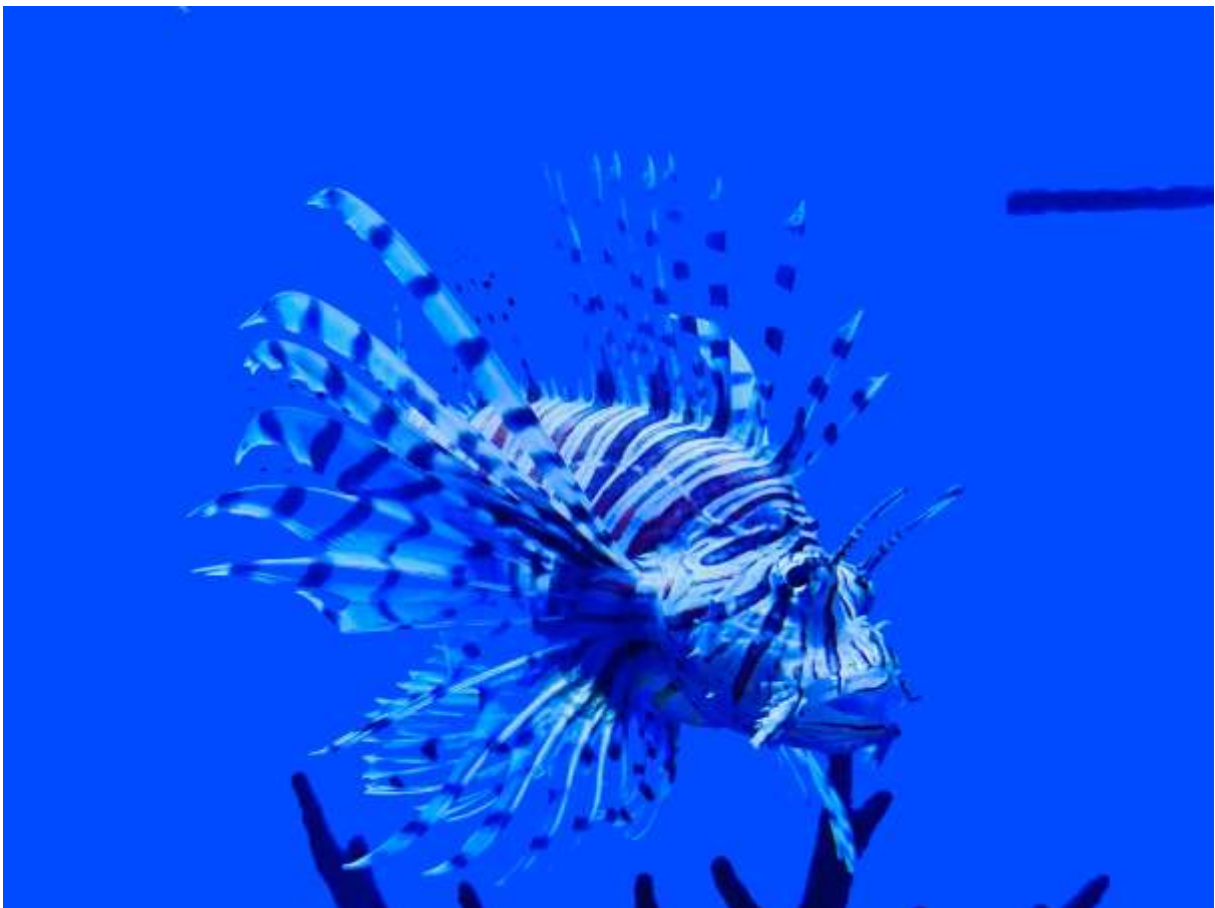
















Pochodziłem po bardzo zadbanym parku Rizala, gdzie na każdym kroku stał policjant lub ochroniarz, oczywiście profesjonalnie się zachowujący, a część z nich miała na sobie bardzo charakterystyczne mundury i kapelusze. Miałem wrażenie, jakby to byli Meksykanie. Następnie trafiłem do Oceanarium, które przylega bezpośrednio do parku. Upał był



niesamowity, więc brak snu i zmęczenie dawały o sobie znać. W Oceanarium poza samymi małymi i ogromnymi akwariami znajduje się wiele punktów rozrywki dla dzieci, gdzie rodzice mogli stracić majątek. Bilet do Oceanarium to wydatek 799 PHP (1 USD to około 55 PHP). Wrażenie zrobiły na mnie ogromna ilość zwierząt i akwariów, a także podwodny tunel. Poza rybami czy pingwinami miał być jeszcze pokaz słoni morskich, ale ponieważ musiałbym na niego czekać ponad godzinę, odpuściłem sobie.

Wróciłem do hotelu i po godzinnym oczekiwaniu otrzymałem klucze. W końcu mogłem wziąć prysznic i się przespać. Po 15.30 poszedłem na zwiedzanie historycznej dzielnicy Intramuros, gdzie znajduje się wiele budynków, które pozostały po hiszpańskich rządach. Dałem się naciągnąć młodemu człowiekowi w małym moto-samochodziku na objazd po dzielnicy z pokazaniem najciekawszych budynków. Generalnie trochę żałowałem, ponieważ mogłem bez problemu pospacerować sam. Po godzinnej objazdówce resztę czasu spędziłem na zwiedzaniu i robieniu zdjęć. Dzielnica ciekawa, warta zobaczenia, ale bardzo specyficzna, co szczególnie zwraca uwagę po trzytygodniowym pobycie w Tajlandii, Laosie czy Wietnamie. Poza zabytkami czy muzeami funkcjonuje tu wiele obiektów rządowych, szkół, kościołów i restauracji. W to wszystko powciskane są bardzo biedne rejony, wręcz slumsy – biedę widać tutaj na każdym kroku i trzeba mieć oczy dookoła głowy. Ludzie są bardzo przyjaźni i – co jest świetne – wszyscy mówią znakomicie po angielsku, który jest tutaj językiem urzędowym.

Pochodziłem po dzielnicy nawet wieczorem, także po biednych jej częściach, a w jednej z nich zjadłem rybę z grilla. Dosiadł się tam do mnie marynarz, który kilka lat temu był w porcie w Szczecinie. Kiedy wieczorem wracałem, zauważyłem, że bezpośrednio za otaczającymi dzielnicę murami są piękne tereny zielone, na których znajduje się pole golfowe. Świetnie wyglądał moment zatrzymania ruchu przez policjanta, kiedy dwa melekсы przejeżdżały z jednego pola na drugie – taka egzotyka. Mijając park, natknąłem się na piękny pokaz fontann w połączeniu z kolorami i muzyką. Dookoła mnóstwo ludzi jadło kolację i relaksowało się w ciepły wieczór. Widziałem też odprawę ponad 30 policjantów w dwóch rodzajach mundurów. Zauważyłem także, że postawa policji wobec ludzi jest bardzo pozytywna i serdeczna.

Kiedy opuściłem park, kierując się do hotelu, zauważyłem dziesiątki ludzkiej biedoty siedzącej lub leżącej na chodnikach. Ciekawe jest to, że większość tych biedaków nie ma absolutnie nic, ale obok są bary, gdzie za jedną porcję Johny Walkera zapłacimy 240 PHP; za te same pieniądze z kolei w sklepie spożywczym kupimy 0,7 filipińskiej whisky. Na ulicach jest bardzo gwarno, jeździ też mnóstwo przeróżnych taksówek: od typowych samochodów, małe motorki czy rowery z wózkami dla pasażerów przyłączone z boku, poprzez konne furmanki w stylu



kolonialnym czy najpiękniejsze, moim zdaniem, busy zwane jeepney – są to pozostałości po obecności armii amerykańskiej, która pozostawiła te ciekawe auta. Są to po prostu jeepy amerykańskie w takiej filipińskiej wersji. Jeżdżą bardzo szybko i głośno, przewożąc za około 13 PHP ludzi po Manili.

Pierwsze wrażenia miałem umiarkowanie pozytywne – jednak bieda wciska się tu w każdy fragment miasta. Nawet jeśli widzimy ładny fragment, to i tak wystarczy się odwrócić, aby zobaczyć nędzę.

Zdjęcia 10–25. Intramuros, urokliwe klimaty.











































Następnego dnia miałem w planach zobaczyć najbogatszą dzielnicę miasta – Makati, w której skoncentrowane są cały biznes i finanse Filipin. Trochę o niej czytałem i chciałem na własne oczy zobaczyć, jak żyją ci, którzy tym krajem kierują i rządzą. Poprzez aplikację Grab zamówiłem sobie taksówkę – po ostatnim złodziejstwie na lotnisku powiedziałem sobie, że nigdy więcej nie będę frajerem.

Sprawdziłem na mapie, że najbardziej centralną i zieloną częścią Makati jest muzeum Ayala. Kiedy tylko wjechałem w rejon dzielnicy, od razu zobaczyłem zupełnie inny świat, o niebo piękniejszy i bogatszy od części Warszawy zabudowanej drapaczami chmur. Najpierw usiadłem sobie w pięknym, wciśniętym pomiędzy muzeum a galerię handlową ogrodzie-parku, w którym obok świetnych kawiarni stał kościół o wyglądzie połowy kuli. Akurat odbywała się w nim msza. Po wypiciu pysznego espresso i soku ze świeżo wyciskanych pomarańczy udałem się na dalszy obchód. Generalnie nie ma co pisać, ponieważ zdjęcia pokazują wszystko, jednak najbardziej uderzyło mnie świetne połączenie różnych budynków w jeden kompleks, łącznie z zielonymi skwerami. W niektórych przypadkach ludzie poruszali się pomiędzy budynkami, oddalonymi często od siebie o setki metrów, połączonych wiszącymi i zadaszonymi kładkami. W przejściach podziemnych znajdują się schody ruchome, a ściany i sufity samych przejść



podziemnych są pięknie wymalowane. Obsługa w kawiarniach na świetnym poziomie, wszyscy biegle mówią po angielsku, wszędzie niesamowita czystość oraz na każdym kroku policja lub ochrona. Widać, że władarze w tej części miasta chcą mieć poziom absolutnie światowy. Jeżeli ktoś robi poważne biznesy w tym kraju i musi mieć siedzibę w stolicy, to ta dzielnica jest idealna. Na miejscu są parki, boiska i kluby sportowe. Można tylko tutaj spędzić całe miesiące, bez konieczności wyjazdu, bo tu znajduje się absolutnie wszystko, i to na najwyższym poziomie. Ludzie są bardzo mili, spokojni i wcale nie sprawiają wrażenia zarozumiałych. Ceny w kawiarniach kształtują się na poziomie cen polskich miast typu Poznań czy Bydgoszcz i z całą pewnością są niższe niż w turystycznych zagłębiach. Oczywiście nie wiem, jak wyglądają ceny mieszkań, domyślam się jednak, że pewnie nie są niskie. Dzielnica cały czas jest rozbudowywana, co oznacza, że interesy idą dobrze. Zresztą nie powinno to dziwić, biorąc pod uwagę fakt, że Filipiny mają jeden z najwyższych wzrostów PKB na świecie. Ogromny przyrost naturalny powoduje, że mieszkają tutaj miliony młodych i dynamicznych ludzi, którzy – jeśli się ich dobrze zmotywuje – będą ten kraj napędzać. Ze względu na dużą biedę jest to dalej rynek pracodawcy, a nie pracownika, jak to obecnie wygląda w Polsce.

Zdjęcia 26–46. Makati, najbogatsza dzielnica Manili.

































































Kiedy wróciłem do swojej dzielnicy, graniczącej z parkiem, zastałem zupełnie inny świat. Po drodze miałem okazję zobaczyć jeszcze trochę typowych slumsów, gdzie okna ludzi w strasznych blokach są położone dwa – trzy metry od autostrady. Wszędzie w oknach wiszą ciuchy, ludzie siedzą, pracują i odpoczywają na chodnikach przy głównych arteriach komunikacyjnych miasta. Jeżdżąc czy spacerując po ulicach, gdzie widać tę biedę, nie czuć jednak jakiegoś defetyzmu, smutku. Ludzie są dynamiczni, uśmiechnięci i bardzo energiczni, każdy ima się czegośkolwiek, aby zarobić parę pesos. Na zakończenie poszedłem jeszcze na chwilę do sąsiadującego z hotelem parku, gdzie po raz kolejny miałem okazję obejrzeć pokaz fontanny, z muzyką i światłem. Przed jego rozpoczęciem przez megafony ogłoszono po angielsku komunikat, aby nie świecić, pilnować dzieci i w przypadku problemów zgłaszać się w punktach bezpieczeństwa. Park jest zamykany o 22.00.

Zdjęcie 47. Biedniejsze oblicze Manili.



Ostatniego dnia pobytu w Manili miałem w planach ponowne, ale już dłuższe i spokojne zwiedzanie najstarszej historycznej dzielnicy Manili, jaką jest Intramuros. Pierwsze zwiedzanie było szybkie, chaotyczne i niepotrzebnie dałem się wkręcić lokalnemu przewodnikowi na motorku. Tym razem już spokojnie, bez pośpiechu, cały dzień chodziłem po niedużej



dzielnicy. Okazało się, że oryginalne umocnienia i forty zbudowane przez Hiszpanów są prawie kompletne i przez większość trasy zewnętrznej można iść i obserwować życie po obu stronach murów.

Ponad połowa terenów zielonych okalających Intramuros to pole golfowe, co może jednak szokować w zestawieniu z biedą, jaka panuje po drugiej stronie muru. Z drugiej jednak strony funkcjonowanie pola golfowego powoduje, że tereny zielone są świetnie utrzymane i pięknie wyglądają w zestawieniu z murami obronnymi dzielnicy. Fortyfikacje, budowane w latach 1590–1825, miały za zadanie ochronę najważniejszych instytucji Hiszpańskich Wschodnich Indii. Manila stopniowo wychodziła poza mury i wchłaniała kolejne dzielnice. Samo miasto przechodziło z rąk do rąk, m.in. brytyjskich czy japońskich. Najbardziej ucierpiało w okresie II wojny światowej, kiedy to w trakcie walk o Manilę śmierć poniosło ponad 100 000 Filipińczyków.

Podczas spaceru miałem okazję podziwiać kilka bastionów, także otoczonych terenami zielonymi, zresztą bardzo często wypełnionymi młodzieżą szkolną, która miała tam zajęcia sportowo-taneczne czy relaksowała się w cieniu drzew. Wewnątrz murów funkcjonują w doskonałym stanie stare historyczne budynki, w których znajdują się instytucje użyteczności publicznej, jak ministerstwa, szkoły, urzędy, policja czy uniwersytety oraz szpitale. W bardzo dobrym stanie są ulice, wymalowane i dozorowane przez policję. Pomiędzy głównymi budynkami powciskane są małe, biedne osiedla mieszkaniowe, slumsy oraz ładne i dozorowane kamienice. W godzinach popołudniowych ubywa turystów, ale przybywa młodzieży, która powoli wraca ze szkoły. W biedniejszych ulicach funkcjonuje zupełnie niezależny świat ze swoimi punktami usługowymi czy gastronomicznymi. Początkowo turyście może się wydawać, że jest tu biednie, brudno i niebezpiecznie, ale po czasie, kiedy człowiek zaakceptuje ten stan jako ich normalność, to skromne środowisko wydaje się bardzo przyjazne. Sam z przyjemnością spacerowałem i żywiłem się w takich miejscach, nawiązując przy okazji sympatyczne relacje z mieszkającymi tam ludźmi. Naprawdę, nie spotkałem się w Manili z żadnym przypadkiem niegrzecznego czy agresywnego zachowania. Ludzie sami pozdrawiają, zagadują, próbują coś sprzedać, ale nienachalnie. Czasami ktoś poprosi o kilka pesos i ładnie podziękuje. Nie zgadzam się z opiniami, że nie ma po co przyjeżdżać do Manili. Jeżeli się tutaj nie było, to warto tu zajrzeć przynajmniej na dwa dni i poznać – przynajmniej te dwie dzielnice, które ja miałem okazję poznać. Są one bardzo różne, ale pokazują lepiej ten mądry, pracowity, zaradny, sympatyczny i bardzo dynamiczny naród.



Zdjęcia 48–68. Intramuros.





















































6 stycznia rano taksówką dojechałem na lotnisko, tym razem za normalne pieniądze, ale jak na złość musiałem wziąć kolejną, ponieważ okazało się, że przybyłem na zły terminal. Dzień wcześniej próbowałem w internecie ustalić, z jakiego terminala jest lot, ale nie dało się tego zrobić z całą pewnością, no i źle obstałem. Po dojechaniu na czwarty terminal, skąd odlatują samoloty filipińskiej linii AirSWIFT, odczekałem swoje i znalazłem się bez problemów w samolocie. Inni nie mieli tyle szczęścia – byłem świadkiem, jak odwołali jeden samolot ze względu na złe warunki pogodowe, co na Filipinach nie jest rzadkością. Poznałem jeszcze sympatycznego starszego Amerykanina, z którym wymieniliśmy się wskazówkami odnośnie do podróży po Filipinach i innych krajach.

### **Palawan – El Nido**

Po godzinnym locie wylądowałem na bardzo małym, lokalnym lotnisku Lio Airport 7 km od El Nido, wyspa Palawan. Było ciekawie, ponieważ samolot lądował bezpośrednio znad wody, a pas startowy był tak krótki, że po zatrzymaniu do końcowej ściany pozostało może ze 40 m. Na miejscu lokalni właściciele trójkołowców szybko rozdali numerki i według tej kolejności przydzielali nam trójkołowe charakterystyczne taksówki. Część pasażerów wsiadła do samochodów przysłanych przez hotele. Po dojechaniu do hotelu przeżyłem chwilę stresu, bo nie mogli znaleźć mojego nazwiska w rezerwacji, pomimo że środki zostały już pobrane. Okazało się, że moje imię zostało potraktowane jako nazwisko.

Zdjęcie 70. Samolot do El Nido.





Zdjęcie 71. Parking dla taksówek przy lotnisku Lio Airport.



Od razu po zostawieniu bagaży udałem się na plażę. Kiedy się do niej zbliżałem, już wiedziałem, że znalazłem się w raju. Generalnie nie jestem fanem leżenia na plaży, ale ta plaża i jej otoczenie są wyjątkowe – przynajmniej tak wtedy czułem, dopóki nie zobaczyłem innych plaż. Już po wyjściu z hotelu ujrzałem piękne, majestatyczne góry górujące nad miejscowością. Samo El Nido było kiedyś małą rybacką wioską; obecnie to już całkiem spora (około 50 tys. mieszkańców), typowo turystyczna miejscowość, gdzie wszystko się kręci wokół turystów. Cudowna plaża w samym centrum, bardzo ciekawa oferta turystyczna skrojona dla każdego, jedno-, dwu- czy trzydniowe rejsy ze zwiedzaniem wysp, raf koralowych czy innych plaż zadowolą każdego. Na plaży było zaledwie kilka osób, żadnych parawanów czy parasolek – w zasadzie pozostawała do mojej wyłącznej dyspozycji. Na wodzie w odległości kilkudziesięciu metrów bujało się kilkadziesiąt mniejszych czy większych łodzi. Piękna pogoda, ciepło i spokojnie. Postanowiłem udać się na spacer plażą, po drodze zatrzymując się czy to na kawkę, piwko czy sok ze świeżo wyciskanych owoców. W jednej z kawiarni nad brzegiem poznałem menedżera, z którym trochę dłużej porozmawiałem na temat możliwości dobrego spędzenia czasu. Idąc przez wieś położoną przy plaży, miałem okazję zobaczyć bardzo



luksusowe hotele położone przy plaży w bardzo spokojnej okolicy. Widziałem, jak żyją zwykli Filipińczycy, mijałem nawet bardzo zaniedbany cmentarz przy samej plaży. Na końcu plaży zatrzymałem się w luksusowym hotelu pięknie położonym na wzgórzu, który miał otwarty bar przy samej plaży. Idealne miejsce na wypicie kawki czy piwka, miejsce, gdzie dalej już nic nie było i nikt tamtędy ani nie chodził, ani nie jeździł. Hotel miał bezpośredni dostęp do plaży – idealne miejsce na wypoczynek, ale jak później sprawdziłem, kosztujący słone pieniądze.

Po powrocie do pokoju wziąłem szybki prysznic i wybrałem się na spacer do miasteczka. El Nido w ciągu dnia jest bardzo spokojne, ponieważ duża część ludzi udaje się na rejsy lub skuterkiem w teren. Wieczorem wszyscy wracają i życie towarzyskie rozkwita. Niezliczona liczba barów, kawiarni, restauracji czy sklepów zachęca do spacerowania, szczególnie że wtedy jest odrobinę chłodniej i można sobie spokojnie posiedzieć na dworze. W ciągu dnia są bowiem prawdziwe tropiki, w cieniu można leżeć, jednak w słońcu człowiek błyskawicznie zalewa się potem. Bez dbania o nawadnianie organizmu czy stosowania filtrów słonecznych szybko można to przypłacić zdrowiem.

Zdjęcia 72–88. El Nido i najbliższe otoczenie.







































Kolejnego dnia zgodnie z planem zjadłem szybkie owocowe śniadanie, po którym postanowiłem iść w tym samym kierunku, co dzień wcześniej. Po drodze zrobiłem mnóstwo zdjęć, ponieważ było fajne słońce i te same miejsca co dzień wcześniej wyglądały zupełnie inaczej, jeszcze piękniej.



W odkrytym poprzedniego dnia barze w luksusowym hotelu wypilem kawkę z lodem oraz soczek. Słuchałem przy tym spokojnej muzyki, patrząc na piękne morze i wystające wyspy w oddali. Następnie postanowiłem kontynuować marsz. Według mapy niedaleko znajdowała się ścieżka, która później łączyła się z główną drogą do El Nido. Całość mogła mieć około 7 km, co wydało mi się idealnym odcinkiem na spacer. Idąc drogą, która miała wyjątkowo ostre podejścia, miałem okazję podziwiać wspomniany hotel. Hotel to mało powiedziane, był to absolutnie luksusowy resort, składający się z domków pięknie usytuowanych na całym wzgórzu. Resort miał wszystko, co potrzebne do idealnego wypoczynku. Na szczycie góry znajdowała się świetna restauracja Henri's, z której rozpościerał się bajkowy widok na całą okolicę, miasto, plażę – coś niesamowitego. Wypilem tam kawkę i pyszny sok z mango i zaplanowałem powrót na kolację, ponieważ obsługa zachęcała, aby przyjechać po 17.00 i podziwiać zachód słońca.

Zdjęcia 89–104. Rejon restauracji Henri's położonej niedaleko plaży w El Nido.







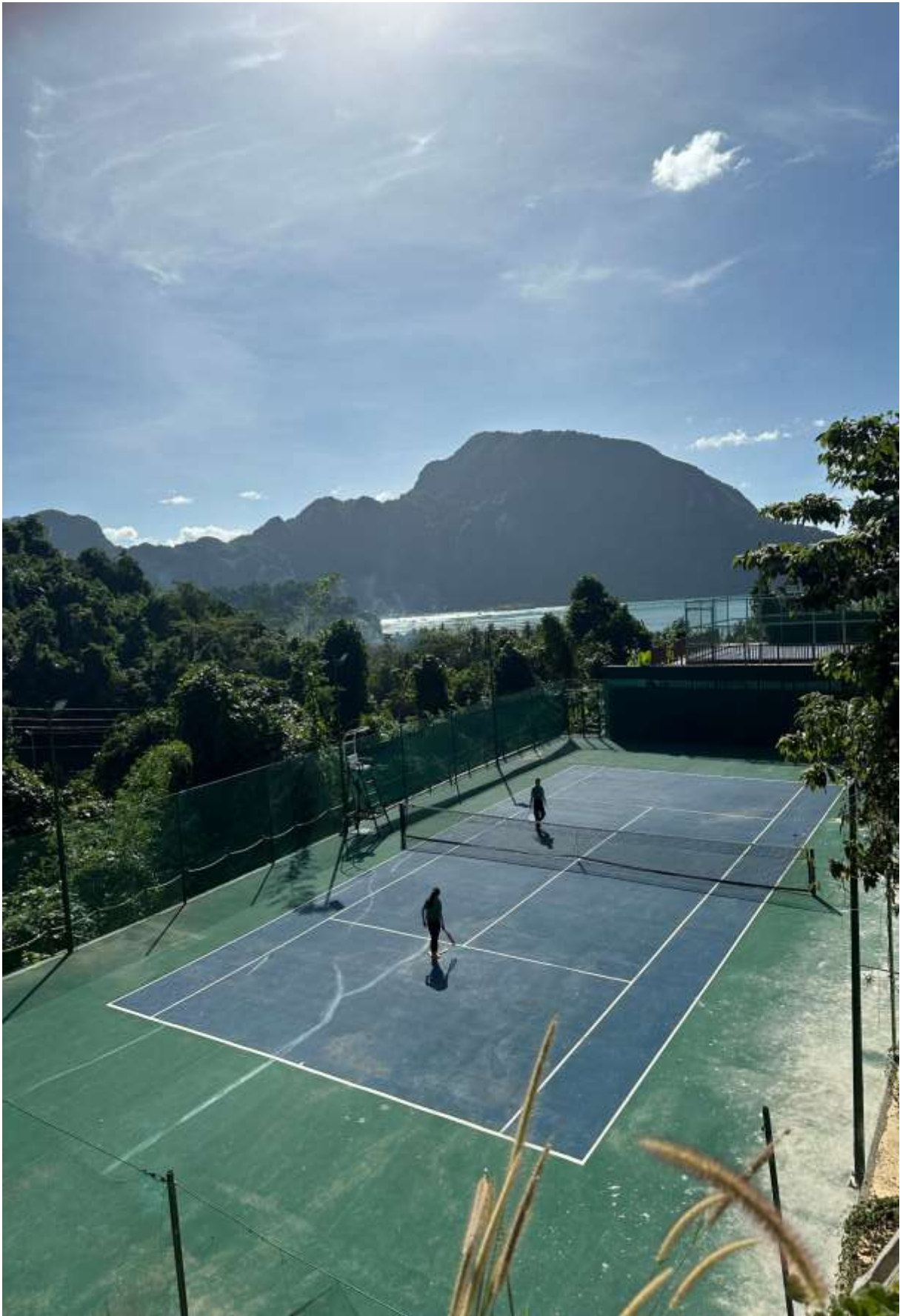


































Kiedy powiedziałem obsłudze, że zamierzam iść pieszo do El Nido, ludzie dookoła zareagowali dużym niedowierzaniem. Zresztą przez cały odcinek spotkałem tylko jedną osobę, która szła pieszo, cała reszta gnała na swoich skuterach czy trójkołowcach. Sam spacer, zanim wszedłem na główną drogę, był prawdziwą przyjemnością, po drodze spotkałem może ze dwie – trzy osoby, a tak przez cały czas byłem sam. Słońce świeciło już trochę słabiej, więc powolny spacer, z możliwością przyglądania się wszystkiemu dookoła, był tym, co lubię najbardziej. Po drodze zjadłem obiad w jednej z przydrożnych restauracji. Dookoła, gdzie okiem sięgnąć, piękne majestatyczne lasy, domostwa czy wsie malowniczo wciśnięte pomiędzy przyrodę. Ludzie na każdym kroku są bardzo przyjaźni, ciepło, zielono i spokojnie. To naprawdę idealne miejsce na wakacje i wyciszenie.

Zdjęcia 105–115. Spacer powrotny z restauracji Henri's do El Nido.



























Kolejnego dnia postanowiłem już skuterem pozwiedzać okolicę i szczególną uwagę zwrócić na kolejne plaże znajdujące się na północ od El Nido, które poleciło mi już kilka osób. Pierwsza to Lio Beach, znajdująca się 7 km na północ, praktycznie przy samym lotnisku. Plaża jest dużo większa niż ta w El Nido i nie ma tam praktycznie żadnych łodzi. Piękne stare drzewa na brzegu



dają cień, w którym można poleżeć cały dzień, ponieważ leżenie na słońcu jest tutaj prawie niemożliwe ze względu na wysoką temperaturę. Można trochę pospacerować, wykąpać się i trzeba szybko chować do cienia. Zastanawiałem się nawet, czy nie przenieść się tutaj z El Nido, dopóki nie sprawdziłem możliwości noclegowych. Hoteli przy tej małej plaży było tylko z pięć – sześć, miejsc noclegowych brak a ceny zaporowe, zaczynające się od 800–1000 PLN za noc. W rejonie plaży znajduje się kilka fajnych restauracji, gdzie można zjeść i się czegoś napić. Wyjeżdżając z plaży, przeszedłem się jeszcze drewnianą kładką, pięknie położoną wśród fantastycznej roślinności, która prowadziła do małego zbiornika wodnego.

Zdjęcia 116–121. Lio Beach.















Kolejna równie urodziwa plaża to Nacpan Beach, położona kolejne kilka – kilkanaście kilometrów na północ w rejonie wsi Calitang. Dosłownie kilka hoteli przy samej plaży i to wszystko. Większość plażowiczów to osoby, które przyjechały tutaj skuterami bądź taksówkami z El Nido, gdzie jest największa noclegownia. Brak dobrze rozbudowanej



infrastruktury hotelowej powoduje, że nad stosunkowo dużymi i pięknymi plażami wypoczywa nie więcej niż 200–300 osób. Już sama jazda skuterem i poszukiwanie plaży, z uwagi na słabe oznaczenie, jest przygodą samą w sobie. Na miejscu zawsze są wyznaczone parkingi dla skuterów i miejsce, gdzie można poleżeć, czegoś się napić czy zjeść. Jeden z Filipińczyków powiedział, że w ciągu roku do El Nido przyjechało pół miliona turystów. Widać, że miejscowym bardzo zależy na turystach, że wiążą z tym duże nadzieje na lepsze życie. Mają piękny kraj i przyrodę, ale chcieliby, jak wszyscy, mieć dostęp do wody, prądu czy klimatyzowanych mieszkań, a to wszystko kosztuje i wymaga czasu. Większość mijanych wsi zabudowana była słabej jakości domami, które przy występującym tu dużym tajfunie pewnie rozpadają się bardzo szybko.

Zdjęcia 122–130. Droga do plaży i plaża Nacpan.

























Ostatnią, najbardziej oddaloną na północ plażą, którą odwiedziłem, to Dagmay, na której odpoczywało jeszcze mniej ludzi, a plaża była duża, piękna, ale odrobinę bardziej wietrzna. Nie prowadziła już do niej nawet droga asfaltowa, zresztą bardzo często jest tak, że jedzie się kawałek dobrą drogą betonową, która nagle się kończy, jedziemy drogą polną, po czym ponownie mamy beton i tak na zmianę. Jadąc skuterem, mijamy pojedyncze skutery co dwie – trzy minuty. Ten bardzo mały ruch powoduje, że człowiek czuje się wolny, nieosaczony masami ludzi czy pojazdów, jak to na przykład ma miejsce w Wietnamie. Jadąc w kierunku plaży, mijalem dwie duże miejscowości, gdzie akurat dzieci i młodzież kończyły lekcje w szkole. Wszyscy pięknie ubrani w białe koszule, pojedynczo, grupkami czy też motorami wracali do domów. Czasami na jednym trójkołowcu siedziało nawet ośmioro – dziewięcioro dzieciaków. Ze względu na późną porę nie posiedzialem na plaży i musiałem powoli wracać. Wieczorem zjadłem kolację i uznałem, że czas na spoczynek.

Zdjęcia 131–134. Okolice i plaża Dagmay.











Z uwagi na to, że jazda skuterem sprawiała mi ogromną przyjemność i dawała dużą swobodę, postanowiłem kolejnego dnia, tj. 9 stycznia, ponownie poodkrywać ciekawe miejsca. Wiedziałem, że muszę odwiedzić jeden z dwóch wodospadów oraz las mangrowy. Rano niestety zachowałem się jak amator i w Lio niedaleko lotniska, 7 km od El Nido, zostałem zatrzymany przez coś na wzór Straży Miejskiej, i wypisano mi mandat oraz zabrano prawo jazdy. Musiałem szybko wrócić do Urzędu Miasta (Municipale), gdzie pokierowany przez przesympatyczną starszą panią w miarę szybko opłaciłem 80 PLN i zdążyłem jeszcze wrócić do strażników, aby oddali mi prawo jazdy. Mogłem jechać dalej bez dokumentów i opłacić to wieczorem, ale wolałem mieć czystą głowę i delectować się przyrodą.

Pierwszy przystanek to wodospad Nagkalit-Kalit, do którego trzeba iść od głównej trasy około 30 minut. Sam wodospad znajduje się około 30 minut jazdy skuterem na północ od El Nido, zresztą wiele atrakcji jest położonych do godziny jazdy skuterem. Przy drodze był punkt, gdzie należało wypisać się w zeszycie, a następnie za 450 PHP wynająć przewodnika. Ciekawe, bo dzień wcześniej, gdy tędy przejeżdżałem i się dowiadywałem, było to 600 PHP – widać, że jest to koszt płynny. Sama trasa prowadziła przez bardzo urokliwe tereny rolnicze i las, co kawałek trzeba było przejść przez wąską rzeczku, co dawało dużą ochłodę nogom. Po drodze miałem



okazję wypytać moją przewodniczkę o różne kwestie związane z ich życiem codziennym. Oczywiście mi trasa zajęła więcej czasu, ponieważ co chwilę się zatrzymywałem, aby zrobić zdjęcia, które i tak w żaden sposób nie oddają piękna tych rejonów. Wodospad nie jest duży, ale z kolei w małym zbiorniku u jego podnóża można się było wykąpać. Powyżej tego wodospadu znajdował się jeszcze jeden, bardzo mały, który także zobaczyłem, wspinając się po stromej ścianie za pomocą lin i kłaczy. Wracając, mogłem ponownie podziwiać piękną przyrodę. Mijaliśmy m.in. rolnika, który przy pomocy bawołu wyciągał z lasu ścięte nieduże drzewa na budowę domu.

Zdjęcia 135–144. Wycieczka do wodospadu.



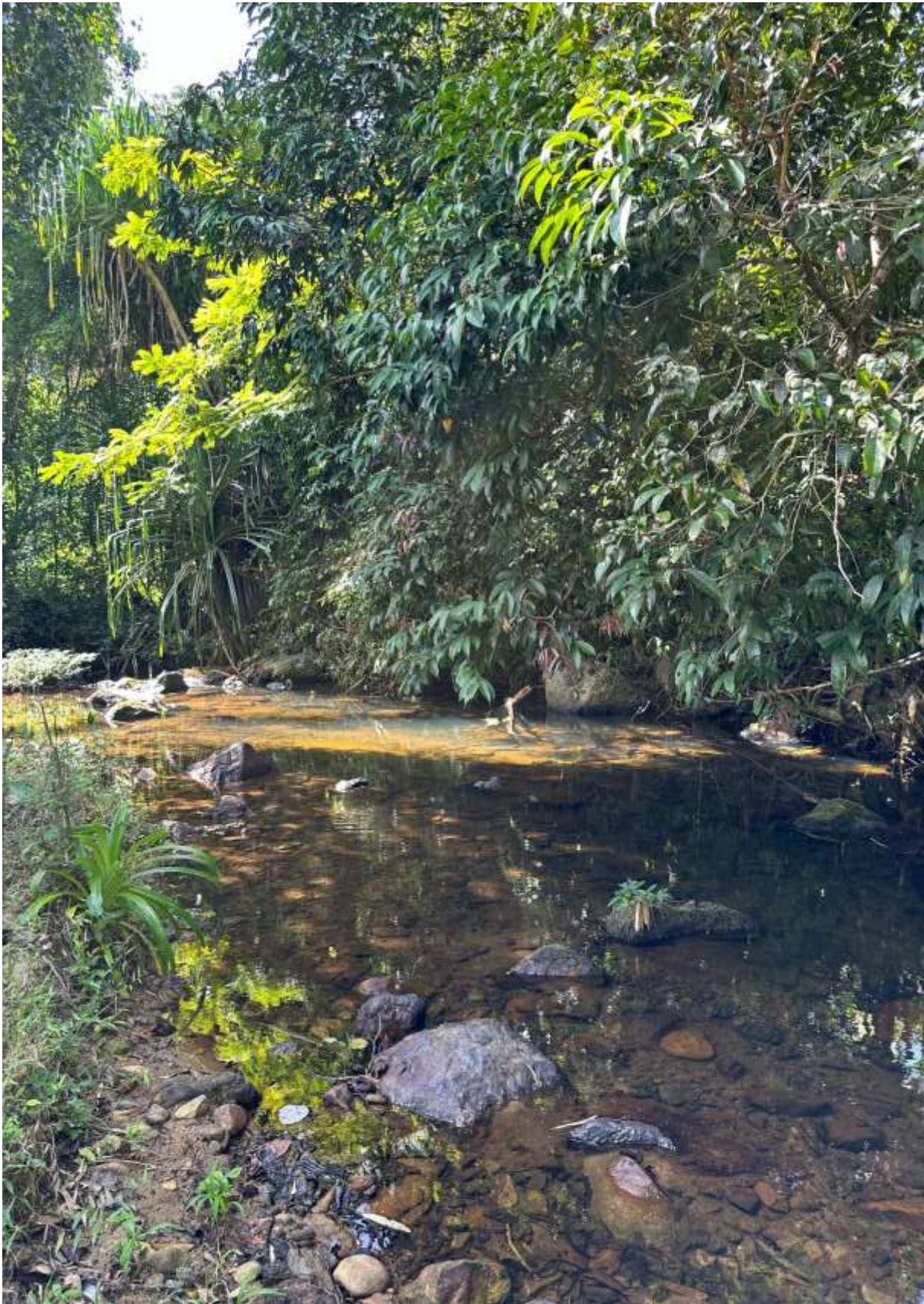
































Na trasie do lasu mangrowego odwiedziłem jeszcze jaskinię Ille. Znajduje się ona w leżącej w niedużej dolinie ogromnej górze wystającej z ziemi, jakby ją tam ktoś sztucznie rzucił. Miejsce i rejon są także obiektami badań archeologicznych, prowadzonych również przez Polaków. Na miejscu sympatyczni panowie wszystko wytłumaczyli, skasowali 350 PHP



i z jednym z nich udałem się na zwiedzanie. Za wyposażenie otrzymałem kask z latarką. Trasa do przejścia to około 50 m. Na ścianach tej pięknej jaskini, w której bytuje mnóstwo małych nietoperzy, natura utworzyła ciekawe wzory, wyglądające jak malowane ludzką ręką. Po zwiedzeniu jaskini posiedziałem jeszcze pół godzinki i porozmawiałem z panami, a przy okazji podładowałem telefon.

Zdjęcia 145–147. Jaskinia Ille.







Ostatnim punktem wycieczki była miejscowość New Ibajay, położona na wschodnim wybrzeżu wyspy, z której rzeka Devil wpływa do morza, ale cały rejon rzeki to las mangrowy (namorzynowy). Ta część mojej długiej podróży zrobiła na mnie chyba największe wrażenie. Na miejscu od razu ktoś mnie zauważył i wypytał, czy chcę popłynąć do lasu mangrowego. Zapytałem, za ile i jak długo, dowiedziałem się, że 1000 PHP i około 3,7 km. Po krótkiej negocjacji popłynąłem za 800 PHP. Płynęliśmy pięknie wijącą się rzeką, która na obu brzegach ma ogromne ilości pięknych palm, z czasem przechodzące w las mangrowy o powierzchni ponad 400 ha. Po około 3 km zatrzymaliśmy się na specjalnie utworzonej przystani, gdzie lokalna ludność zbudowała drewnianą kładkę, dzięki której możemy do tego magicznego lasu wejść. Widok niesamowitej plątaniny korzeni wystających z wody, zalewanych i odkrywanych w cyklu przyływów i odpływów, powodował, że myślałem o magicznych, tajemniczych miejscach. Jeżeli ktoś takiego cuda nie widział, to trudno to sobie nawet wyobrazić. Nie mogłem z tego lasy wyjść i się na to wszystko napatrzeć. Na końcu kładki znajduje się drewniana, pięknie zrobiona przystań, gdzie można posiedzieć i napawać się pięknymi widokami. Poprosiłem jeszcze, żebyśmy popłynęli do morza, które znajdowało się dosłownie dwa zakręty rzeki. Bardzo przyjemne doświadczenie, kiedy wpływa się rzeką do morza i ma



się przed oczami kolejne urokliwe widoki. Po chwili zawróciliśmy do przystani, po drodze zrobiłem jeszcze kilka ładnych zdjęć, tym bardziej że warunki były idealne ze względu na zachodzące słońce. Na przystani jeden człowiek pokazał mi jeszcze z daleka dużego ptaka z białym dziobem, który jest symbolem wyspy. Została mi już tylko droga powrotna do El Nido i rozglądanie się na lewo i na prawo oraz podziwianie przyrodę i wyjątkowo urodziwych ludzi. Tak jest naprawdę – tutejsi ludzie mają ciemniejszą skórę, np. od tych z Manili. Oczywiście wszyscy są niesamowicie mili, dzieci cały czas pozdrawiają, a młodzież zaczepia, robiąc sobie żarty.

Zdjęcia 148–159. Las mangrowy.































Kolejnego dnia (10 stycznia) wybrałem się na wycieczkę jeepneyem, którego zauważyłem w jednym z punktów obsługi turystycznej. Nie przejechałem się nim w Manili, więc jak zobaczyłem, że organizują całonocne wycieczki, od razu się zapisałem. Firma działa dosyć nowocześnie, wszystkie zapisy prowadzą elektronicznie za pomocą kodu QR, co znacznie ułatwia wszystkie procedury. Nawet w dniu wycieczki każdy pobierał kodem QR dostęp do grupy na WhatsApp, dzięki czemu otrzymał później wszystkie zdjęcia. Skład załogi to przewodnik-animatorek, fotograf i kierowca. Od razu było widać, że zależy im na budowaniu atmosfery, co akurat w naszej grupie bardzo się udało, ponieważ była sama młodzież oraz ta starsza jak ja, ale z młodym wnętrzem.

Jednym z rozwiązań pomagających w budowaniu atmosfery było rozdawanie plastikowych monet – tokenów, które można było potem wymienić na drinka. Aby go zdobyć, należało poznać jakąś nową osobę i znaleźć z nią jedną cechę wspólną. Plan wycieczki zawierał wizytę na plaży w Lio, zjedzenie obiadu w terenowej, ładnie położonej wiacie, podziwianie wodospadu Bulalacao, a na zakończenie odwiedzenie plaży Nacpan. Chociaż obie plaże widziałem, to chciałem doświadczyć, jak wygląda taka wycieczka pod kątem mojej przyszłej



działalności turystycznej. Oczywiście wszędzie fotograf robiła zdjęcia, zarówno grupowe, jak i indywidualne.

Zdjęcia 160–168. Wycieczka jeepneyem.























Wyjątkowo fajną atmosferę zawdzięczaliśmy grupie Włochów, którzy byli przyjaciółmi z kraju i przylecieli na Filipiny na wesele swoich filipińskich przyjaciół, na co dzień mieszkających i pracujących we Włoszech. Wśród uczestników wycieczki znalazło się też kilku Filipińczyków, małżeństwo amerykańsko-filipińskie z USA, Australijczyk oraz Brytyjka –



wszyscy młodzi i pozytywnie nastawieni do życia. Po godzinnym pobycie na pięknej plaży Lio obok lotniska pojechaliśmy na obiad, który zaserwowano pod wiatą, w rejonie jednego z domów oddalonego kilkaset metrów od drogi. W pięknie położonym miejscu obiad smakował wyśmienicie, nie podano żadnych sztuczków, więc jadło się tylko rękoma, ale na szczęście było gdzie je umyć. Serowano ryż, warzywa, kurczaka, wieprzowinę i ogromną rybę oraz banany.

Po obiedzie wszystkim bardzo dobrze zrobił półgodzinny marsz przez piękny las, przecinany rzeczkami, które przechodziliśmy w bród. Na miejscu chętni mogli się wykąpać czy skoczyć z kilku metrów do zbiornika utworzonego u podnóża wodospadu. Dalszej drodze, tym razem na plażę Nacpan, towarzyszyły muzyka, śpiewy i pytania o nowych przyjaciół, dzięki czemu liczba tokenów w kieszeni rosła. Świetne było to, że kilkanaście osób mogło jechać na dachu autobusu, gdzie znajdowały się dwa miękkie materace, dzięki czemu sama podróż stała się superprzygodą, nieosiągalną w Europie. Ja szczególnie zaprzyjaźniłem się z małżeństwem amerykańsko-filipińskim. On – Amerykanin – był fizjoterapeutą, a ona – Filipinka – pielęgniarką. Zawody mi bardzo bliskie, z racji wcześniejszej pracy na uczelni, która zajmowała się kształceniem obu tych bardzo ważnych profesji. Wesoły autobus z rozśpiewaną młodzieżą na dachu robił wrażenie na wszystkich mijanych po drodze ludzi, którzy się uśmiechali i szczerze pozdrawiali. Na plaży mieliśmy dwie godziny relaksu. Można było obejrzeć zachód słońca i zająć się upłynianiem tokenów. Jeśli komuś ich zabrakło, nasza fotografka i pięknym imieniem Princessa dawała kolejne. Na dzień dobry w lokalnym barze czekała na nas ustawiona kolejka kieliszków, ale by wypić, należało najpierw wskoczyć ze wszystkimi do basenu i ustawić się do wspólnego zdjęcia z kieliszeczkami.

Sam powrót był prawdziwą jazdą bez trzymanki. Oczywiście na dachu już nikt nie mógł jechać, ale wewnątrz autobusu odbyło się prawdziwe karaoke. Na monitorze wyświetlano słowa piosenek, a ludzie śpiewali jak najgłośniej. Kiedy dojechaliśmy do bazy w hostelu i barze jednocześnie, impreza przeniosła się na dach, gdzie graliśmy parami w fajną grę polegającą na tym, że dwa dwuosobowe zespoły stały naprzeciwko siebie i miały po sześć pustych kubków, do których należało wrzucić piłeczkę pingpongową. Wygrywała ta drużyna, która trafiła do wszystkich kubków drużyny przeciwnej. Kto chciał, mógł też popływać w basenie, którego czystość w takich warunkach była chyba nie do utrzymania. Spędziłem naprawdę genialny dzień na tej wycieczce, a pomyśleć, że rano czułem się tak zmęczony, że planowałem pójść i przenieść mój wyjazd na piątek.

Kolejny dzień to kolejna wycieczka, którą kupiłem, wracając wieczorem po imprezce z Włochami i całą resztą. W El Nido każda agencja sprzedaje pakiety wycieczkowe od A do D,



a każdy pakiet to kilka wysp do odwiedzenia. Na prospekcie wyglądało to świetnie, tym bardziej że kiedyś zacząłem dwóch Włochów na plaży, którzy właśnie z takiego wyjazdu wrócili. Byli akurat na wycieczce A i sobie chwalili. Mnie rano już zdenerwowała cała procedura ładowania na statek, może dlatego, że byłem trochę „zmęczony” po wycieczce jeepnym. Problem polegał na tym, że do łodzi należało dojść przez wodę, która sięgała prawie do szyi. Każdy musiał więc kupić specjalny worek, aby bezpiecznie przenieść swoje rzeczy, oraz kupić lub wypożyczyć buty wodne, z uwagi na kamieniste dno w niektórych rejonach. Na koniec okazało się, że na łódź wciskano tyle ludzi, ile się dało, wszyscy siedzieli więc w dużym tłoku. W sumie odwiedziliśmy cztery wyspy. Same wyspy i plaże oczywiście bardzo urokliwe, krystalicznie czysta woda i piasek, unikatowa przyroda. Wycieczkę psuły jednak takie elementy, jak dwugodzinne poranne ładowanie ludzi, długie rozładowywanie i ponowne ładowanie ludzi na łódź i w końcu to, że w te same miejsca w tym samym czasie przybywało po kilkanaście łodzi, przez co był duży ścisk i raczej o spokojnym spędzaniu czasu należało zapomnieć. Czasami samo cumowanie, ładowanie i rozładowywanie ludzi zajmowało tyle czasu co pobyt na plaży. Za najciekawszy uważam chyba ostatni element – wycieczkę kajakami do tzw. wielkiej laguny, gdzie można było podziwiać cuda natury, czystą wodę czy drzewa mangrowe. Ale samo to, że pomimo wykupienia wycieczki należało jeszcze płacić za kajaki, oceniam już jako słabe.

Zdjęcia 169–181. Wycieczka na wyspy A.

































Jednak najfajniejsze w całym tym wydarzeniu było to, że na łodzi usiadłem obok pary cudownych młodych ludzi z Polski – Martyny i Maćka z Bytowa. Spędziliśmy kilka godzin na dyskusjach o podróżach, wymieniając się wskazówkami i wrażeniami. Ci wspaniali ludzie pełni pasji uczynili ten dzień naprawdę wartościowym, chociaż samą wycieczkę uważam za słabo zorganizowaną i nastawioną na masowy przerób ludzi.

12 stycznia już nie byłem w stanie podjąć żadnej aktywności. Organizm po miesięcznym podróżowaniu, często w upale i niewygodach, powiedział: dość. Większość dnia spędziłem więc na wypoczynku i zasilaniu organizmu w kalorie i witaminy. Poleżałem trochę na plaży i cieszyłem się spokojem i piękną pogodą. Obserwowałem, jak gatunek małych, trzy- – czterocentymetrowych płochliwych krabów buduje norki na plaży. Plaże pozornie wyglądają na puste, ale kiedy się jej spokojnie przyjrzymy, zobaczymy dziesiątki tych stworzonek.

Po wypoczynku przyszedł czas na bardziej ambitne wyzwania. Ponieważ nie miałem już ochoty na żadne zbiorowe wycieczki, postanowiłem ostatnie dni spędzić na skuterze. Daje to możliwość zatrzymania się tam, gdzie się chce, można wszędzie wjechać i być bliżej normalnego życia Filipińczyków. Plan był prosty: objechać wszystko na północ od El Nido jednym dużym kółkiem. Chciałem jechać zachodnim wybrzeżem maksymalnie na północ, przejechać lądem na wschodnie wybrzeże, wrócić nim na południe, a następnie pojechać znowu na zachód w kierunku El Nido. Na mapie plan wydawał się prosty. Wiedziałem, że w większości będą to drogi polne, ale to mi nie przeszkadzało, miałem na to cały dzień. Jedyne pytanie stanowił przejazd z zachodu na wschód na samej północy – mapa pokazywała tam jedynie ścieżkę, a nie drogę.

W pierwszej kolejności pojechałem ponownie w rejon plaży Nacpan, aby zrobić kilka zdjęć domom stojącym w rejonie młodych lasów mangrowych. Później to już tylko kolejne miejscowości na trasie na północ, przy czym starałem się zaliczać wszystkie plaże po drodze. Na kilku z nich poza mną nie spotkałem żadnego turysty, a i rybaka też trzeba było dobrze wypatrywać. Jedna plaża okazała się całkowicie niedostępna: widziałem ją tylko z pewnej odległości, ale bez możliwości dojazdu.

Najdalej na północ dojechałem do miejscowości Diapila, gdzie nawiązałem kontakt z właścicielką sklepu i jej mężem. Widać było, że to jedni z najbogatszych ludzi w tej miejscowości. Powiedziałem im, że szukam dobrych miejscówek dla turystów z Polski. Mąż właścicielki szybko pokazał mi dom w budowie i powiedział, jak i co to będzie wyglądało. Miejscowość, poza tym, że nie ma w niej prawie żadnych turystów, jest ostatnia na północy.



To bardzo ładna i spokojna wieś rybacka z pustą plażą. Dookoła są piękne góry i lasy, idealne na spacer. Jeżeli wszystko pójdzie dobrze z planem, to dwa – trzy dni w tej wsi okażą się prawdziwym hitem.

Zdjęcia 182–199. Widoki z wycieczki skuterem na północ wyspy Palawan.





































Po wizycie we wsi zaczęły się schody. Właściciel sklepu powiedział mi, że planowana przeze mnie trasa jest bardzo wyboista, ale ja wiedziałem swoje. Zdecydowałem się wybrać drogę, która wyglądała na mapie jak ścieżka. Początkowo było trudno, ale bez problemu jechałem, dojechałem nawet do maleńkiej i urokliwej osady rybackiej, położonej kilkanaście metrów od morza. Okazało się, że zbczyłem z drogi, musiałem więc cofnąć się i skręcić w lewo. Gdy dotarłem do tego skrzyżowania i go zobaczyłem, zacząłem mieć poważne wątpliwości, czy na pewno nim przejadę. Droga stawała się coraz gorsza, chwilami musiałem zejść ze skutera i iść obok, bo bym pourywał wszystkie plastiki. Ostre i bardzo kamieniste zjazdy uniemożliwiały jazdę, nogi miałem całe potargane o zarośla – dobrze, że nie spotkałem żadnej żmii czy innego skorpiona. Widać było, że drogą nikt nie jeździ, co najwyżej chodzi, a i to nie bez problemu. Podczas zjazdu z góry w pewnym momencie przewrócił mi się skuter – pomyślałem, że jeśli go rozwalę, przebiję koło czy zepsuję, to będzie tragedia. W końcu po ogromnym wysiłku, cały spocony, wjechałem jakiegoś rodzinie na podwórko. Zaskoczona kobieta – bo nikt z tamtej strony na pewno nigdy się nie pojawił – pokazała mi kierunek i ostatecznie trafiłem na drogę, którą chciałem jechać. Kiedy zobaczyłem pierwszy skuter, bardzo mi ulżyło. Przypomniała mi się przygoda z Rwandy, kiedy z Kasią i Mateuszem jechaliśmy w nocy drogą, którą jechać nie powinniśmy, tym bardziej w nocy. Ale jak to mówią: kto szuka przygód, ten je znajdzie – na szczęście na razie wszystko kończy się dobrze.

Poobijany, ale już spokojny, zjeżdżałem na południe wschodnim wybrzeżem wyspy Palawan. Zrobiło się zdecydowanie wietrzniej, a mijane plaże nie wyglądały tak pięknie jak te na zachodnim wybrzeżu. Były bardzo skaliste, muliste i porośnięte namorzynami. W jednej z miejscowości natknąłem się na szkołę parasailingu, warunki mieli idealne. Na miejscu był profesjonalny bar, więc zatrzymałem się, aby wypić kawę i podładować telefon, i pojechałem dalej. W jednym miejscu zobaczyłem znak, że jest jakiś pensjonat i prowadziła do niego świetna droga asfaltowa. Okazało się, że wjechałem na prywatną posesję. Dalej dojechałem do dużej miejscowości San Fernando, skąd przez Sibaltan dotarłem do New Ibajay, gdzie kilka dni temu podziwiałem las mangrowy. Stamtąd już wróciłem najkrótszą drogą do El Nido.

Po dojechaniu do El Nido i prysznicu marzyłem o dobrej kolacji, bo cały dzień przetrwałem na bananach, kokosach o orzechach i drinku dla relaksu. To był pełen emocji, trochę stresu, ale efektywny dzień. Najważniejsze, że znalazłem ciekawą miejscówkę, blisko ludzi i natury, na trzydniowy pobyt dla polskich turystów.

Kolejnego dnia postanowiłem całkowicie zmienić kierunek jazdy na południowy. Generalnie nie planowałem, jak daleko dojadę, bo nie wiedziałem, co przyciągnie moja uwagę.



Wyjeżdżając z El Nido, zjechałem na inną plażę, która znajduje się w południowej części miasta, ale niespecjalnie urzekły mnie jej linia brzegowa i zamulony brzeg. Po drodze wjechałem w jedną polną drogę, ale zawróciłem po chwili, mając w pamięci doświadczenia dnia wcześniejszego.

Zdjęcia 201–215. Dalsza część wycieczki, po znalezieniu drogi powrotnej.



































Na kierunku południowym był zauważalnie mniejszy ruch na drogach, ale za to mogłem podziwiać piękne i zalesione góry. Po drodze minąłem może ze trzy wsie, wszędzie oczywiście przemili ludzie, niektórzy pozdrawiali nawet na skuterach podwójnym sygnałem klaksonu. Jeżdżąc, należy się przyzwyczać do tego, że Filipińczycy co chwilę trąbią, ostrzegając, że jadą lub że będą wyprzedzać. Nie ma w tym żadnej oznaki agresji czy zdenerwowania. Przez cały okres pobytu na Filipinach ani razu nie widziałem u nikogo ani cienia agresji.

Po jakimś czasie jazdy piękną drogą asfaltową zauważyłem powtarzające się banery dotyczące jakiejś plaży określanej jako raj. Stwierdziłem, że co mi zależy, mogę sprawdzić to miejsce. Skręciłem w tamtym kierunku i musiałem jechać bardzo stromymi podjazdami i zjazdami. W pewnym momencie droga się rozszerzyła i pojawiła się informacja, aby zostawić skuter lub samochód i ostatni odcinek około 100 m przejść pieszo, ponieważ droga jest bardzo surowa i stroma. Jeśli jednak ktoś zdecyduje się podjechać, musi pamiętać, że robi to na własną odpowiedzialność. Zostawiłem więc skuter i zacząłem iść. Prawie od razu ujrzałem przepiękny widok na las palmowy, morze i znajdującą się w oddali wyspę.

Kiedy spokojnym krokiem doszedłem do punktu docelowego, zobaczyłem bardzo ładnie ułożony kamping. Były tam miejsca na namioty, małe szalasy zrobione z drewna i liści



palmowych, restauracja, zaplecze sanitarne, kuchnia, krótko mówiąc: wszystko, co niezbędne do świetnego spędzenia czasu z dala od hałasu i tłumów ludzi. Na brzegu morza hamaki i miejsca do jedzenia. Wszędzie spokój i cisza. W oddali było widać kilka wysp, z czego jedna nawet zachęciła mnie do odwiedzenia. Niestety, właścicielka kempingu nie mogła się dodzwonić do właściciela łodzi i odpuściłem temat. Tak mi się tam spodobało, że utknąłem na trzy godziny. Po zjedzeniu obiadu, wypiciu piwka i rozmowie o biznesach z właścicielką pospacerowałem jeszcze trochę wzdłuż linii brzegowej. Miejsce idealne na spokojny wypoczynek, dwa – trzy dni bez pośpiechu z możliwością wynajęcia łodzi i odwiedzenia okolicznych wysp.

Zdjęcia 216–222. Prywatna plaża na Palawan.

















Po opuszczeniu tego fantastycznego miejsca pojechałem dalej na południe i dojechałem do ślicznej i sympatycznej wsi rybackiej Bebeladan. Żyli tam przemili ludzie. Na końcu wsi znajdował się bardzo drogi i zamknięty resort z cenami 1000 PLN w górę za noc. Często w pobliżu spokojnych wsi rybackich na Palawan budowane są drogie resorty. Pewnie dlatego, że brak infrastruktury nie przyciągnie masowego turysty, a przy okazji mają tanią siłę roboczą na miejscu. Po krótkim spacerze i zrobieniu kilku zdjęć wróciłem do El Nido. Wieczorkiem trochę podegustowałem życia i skorzystałem z happy hours – dwa drinki w cenie jednego. Dwie takie okazje i noc słabo przespana...

Zdjęcia 223–226. Wieś Bebeladan.









Rano ciężko było wstać, ale krótki trening zrobiłem. Wszystko się opóźniło, a i organizm odczuwał trochę wyczerpanie miesięcznym już włóczęgostwem. Stwierdziłem, że co miałem widzieć, już widziałem, więc pojechałem ponownie do świeżo odkrytego kempingu poleżeć i odpocząć. Na miejscu natknąłem się na trochę głośną grupę młodych Filipińczyków, którzy wspólnie piknikowali. Kiedy położyłem się z piwką na hamaku, podszedł do mnie, jak się później okazało, mąż właścicielki, który przez ponad półtorej godziny opowiadał mi historię swojego życia oraz o specyfice czy historii Filipin. Dowiedziałem się wszystkiego o jego życiu: gdzie i jak zarobił pieniądze, jak kupił te 18 ha, na których zlokalizowany jest kemping itp. Czasami fajnie jest nic nie mówić, tylko wysłuchać człowieka, który dziwnym trafem upodobał sobie nas jako słuchacza.

Po zjedzeniu obiadu pochodziłem po plaży w kierunku przeciwnym do tego z dnia poprzedniego. Znalazłem pustą plażę i poleżałem trochę. Pozostał powrót do El Nido, zjedzenie kolacji i powoli myślenie o powrocie, ponieważ w dniu kolejnym, 16 stycznia, miałem lecieć na noc do Manili, po czym kolejnego dnia do Bangkoku.

Zdjęcia 227–232. Prywatna plaża – ciąg dalszy.















Niestety, wszystko co fajne, kiedyś się kończy i czas wracać do zimnej Polski. Ostatni dzień w El Nido spędziłem głównie w barze bardzo drogiego hotelu, który odkryłem pierwszego dnia po przylocie. Jest to praktycznie ostatni punkt na północ od plaży El Nido, mało kto tu chodzi i nikt nie przyjeżdża, bo nie ma drogi. Dzięki temu mogłem się trochę wyciszyć i nasycić pięknymi widokami. Niestety, z wszystkich hoteli, które miałem w tej podróży, ten w El Nido było najgorszy: drewniany sufit, nieszczelne drzwi i ułożenie pokoju powodowały, że o spokojnym pobycie i wyciszeniu mogłem zapomnieć. W przyszłości muszę bardziej szczegółowo studiować warunki hotelowe, szczególnie na dłuższe pobyty. Niby człowiek tak dużo podróżuje i tyle już wie, a czasami łapie się na takich prostych rzeczach. Chyba nie spodziewałem się, że El Nido jest takie głośnie i zatłoczone. Któregoś dnia jeden człowiek powiedział mi, że 25 lat temu była to mała i bajkowa wieś. Dzisiaj to 55 tys. ludzi i drożyna. Dniówka Filipińczyka w El Nido to około 400 PHP (1 USD to około 54 PHP), czyli nie jest w stanie zjeść nawet jednego posiłku w restauracji dla turystów przy tym poziomie cen. Przykładowo kokos w El Nido kosztuje 35 lub 55 PHP, w zależności, czy ma być z lodówką, ale kilka kilometrów za miastem – już 15 PHP. Ceny tutaj są wyższe niż w Bangkoku, co dla mnie jest nieporozumieniem. Do samego miasta można przyjechać maksymalnie na trzy –



cztery dni i to przy założeniu, że codziennie korzysta się z fajnych wycieczek. Na szczęście znalazłem dwie świetne miejscóweczki na przyszłość, daleko od zgiełku i hałasu, a dodatkowo z pięknymi widokami.

Późnym popołudniem pojechałem trójkołowcem (motor z wózkiem, przerobiony do transportu nawet trzech ludzi i bagażu) na lotnisko. Cena to 6 USD za 7 km, w Bangkoku za 10–12 można dojechać na lotnisko 30 km. Niestety wcześniej mój lot został przesunięty o ponad trzy godziny i do Manili doleciałem dopiero około północy. Po szybkiej nocy musiałem do 12.00 opuścić hotel, ale było za wcześnie, aby pojechać na lotnisko. Mając ponad dwie godziny czasu, udałem się na spacer do zwiedzanej już wcześniej dzielnicy Intramuros. Skorzystałem z okazji i zwiedziłem muzeum najstarszej destylarni w Filipinach. Ciekawe, że przez prawie 40 dni to było jedyne muzeum, które zwiedziłem. Za 200 PHP miałem bilet z degustacją sześciu alkoholi, produkowanych przez firmę, której siedziba jest już w innym miejscu Manili. Sama destylarnia została założona i cały czas pozostaje w rękach jednej i tej samej rodziny chińskiej. Miejsce warte odwiedzenia, fajnie przygotowana ekspozycja, no i warto popробować ich specjałów. Na miejscu można oczywiście zakupić to i owo.

Zdjęcia 233–238. Muzeum Whisky w Manili.



















Po wszystkich atrakcjach zabrałem bagaż i taksówką pojechałem na lotnisko, gdzie po trzypółgodzinnym locie wylądowałem w Bangkoku. Taksówką pojechałem do mojego najlepszego na świecie, przytulnego i rodzinnego hoteliku, gdzie mimo późnej pory starsza pani dała mi dzindżerową herbatkę. Po śniadanku pojechałem do centrum handlowego, gdzie kupiłem ciepłą kurtkę, ponieważ starą optymistycznie wyrzuciłem po przyjeździe w połowie grudnia. Założyłem, że kiedy będę wracał pod koniec stycznia, pogoda w Polsce będzie lepsza niż się zapowiadała.

Po zakupach wróciłem do hotelu, zostawiłem, co trzeba, i postanowiłem zwiedzić jeden z najwyższych budynków w Bangkoku – King Power Mahanakhon, który ma 314 m. Przykuwał on moją uwagę w trakcie wcześniejszych pobytów. Wygląda, jakby z jego struktury wypadły poszczególne klocki/segmenty. Po dojechaniu na miejsce okazało się – czego wcześniej nie wiedziałem – że można wjechać na sam dach i spędzić kilka godzin na dachu Bangkoku. Po zakupie biletu za około 120 PLN wjechałem na 74 piętro, na którym znajdowały się sklep i taras widokowy otoczony szybami. Stamtąd schodami można było wejść na 77 piętro i pod gołym niebem podziwiać panoramę miasta. Na górze znajdowały się restauracja oraz szyba, na którą można było wejść w osłonach na buty i popatrzeć na dół na ulice. Jeżeli ktoś



ma lęk wysokości, to nie polecam, bo może go to sparaliżować. Na dachu znajdowały się także pewnego rodzaju trybuny, co dawało kolejne kilka metrów wysokości. Była godzina około 18.30, więc poza tym, że porobiłem zdjęcia miasta z góry, mogłem zobaczyć zachód słońca oraz panoramę miasta w nocy. Naprawdę warto było wydać te pieniądze i poświęcić czas. Nigdy jeszcze nie widziałem tak dobrze przygotowanego tarasu widokowego, z pełnym wglądem w panoramę, z restauracją, tarasem widokowym czy szybą, która pozwalała poczuć prawdziwe emocje. Ludzi było wielu, a muzyka tworzyła bardzo fajną atmosferę relaksu. Aby zjechać, musiałem jednak swoje odstać w kolejce. Następnie pojechałem jeszcze na ulicę Khaosan, zjadłem kolację i spacerem wróciłem do hotelu.

Zdjęcia 239–245. Najwyższy budynek w Bangkoku.



















Pomimo trzydziestu ośmiu dni w podróży wcale nie chciało mi się wracać, dodatkowo cudowny hotel powodował, że z ciężkim sercem wsiadłem w nocy do taksówki i poprzez Istanbuł wróciłem do zimnej i pochmurnej Warszawy. Na powitanie we Wrześni zapłaciłem 50 PLN mandatu za przejście przez tory w niedozwolonym miejscu. Godzina 22.00 w nocy, zero ludzi,



a tu nagle trzech sokistów asystowanych przez policyjny radiowóz dopadło dwóch „kryminalistów”, którzy ośmielili się przejść przez tory, słabe to...

Podsumowując: w ciągu trzydziestu ośmiu dni odwiedziłem cztery kraje, jednaście hoteli, odbyłem osiem lotów samolotem, spędziłem dwa dni na rzece Mekong, dwie noce w pociągu, trzy dni w autobusie i przejechałem pięć dni skuterem. W sumie pokonałem 27 000 km. Wspaniały czas, a najciekawsze, że na zakończenie wcale nie chciało mi się wracać do kraju.